

Autor: Borówka

## **Praca konkursowa „Nasza ziemia, nasz dom – pamiętnik pokoleń c.d.”**

*W pracy opisałam historię moich pradziadków, opowiedzianą przez mojego dziadka – Zygmunta Markiewicza – syna Leopolda i Katarzyny, który wybrał się śladami swoich rodziców do wsi Duliby na Ukrainie, następnie przez Jastrzębie, aż do niemieckiego Effringen.*

### **„Historia, która zatoczyła koło”**

Leopold Markiewicz (1918-2008) – wspomnienia domu rodzinnego oraz lat przed i po zakończeniu II wojny światowej.

Czasami tak się czuję, jakby moje życie zaczęło się od śmierci... Miałem zaledwie rok, a więc moje życie dopiero się zaczynało, gdy przez nasz kraj przetoczyła się największa epidemia jaką pamięta świat... hiszpanka. Choroba wykorzystała to, z czego ludzie byli tak dumni – cywilizację. Świat mojej rodziny to Jastrzębia. Zielone jak raj podkrakowskie wzgórza, które w pocie czoła uprawiali rolnicy. Z chęcią uprawialiby jeszcze trudniejsze pola, byle nie doświadczyć przekleństwa zarazy. Bo gdy uderzyła, zabierała na raz całe rodziny. Miałem dziesięcioro starszego rodzeństwa. Zmarli wszyscy, oprócz mnie i starszego brata - Tadka. Wszyscy! Nie było nawet czasu robić trumien. Najstarsza z nas, Jadwiga, miała już odebrany bilet do Hamburga, skąd miała płynąć do „lepszego świata”, aby poprawić zarówno swój, jaki i nasz los. Niestety, nie zdążyła. Śmierć była szybsza niż dziewczęce marzenia...

Po epidemii już nic nie było takie samo. Świat skończył się dla wielu rodzin. Uśmierciła moje rodzeństwo i serca moich rodziców. Ojciec, który w I wojnie światowej odniósł liczne rany i od powrotu do domu często słabował, już się nie podniósł z nieszczęścia. Kilka lat później zmarł. Nie sądziłem, że świat może spotkać jeszcze większe zło. A właśnie tak się stało... W 1939 r. wybuchła druga wojna światowa, która niczym pożar ogarnęła całą Europę. Gdy Niemcy zajęli Galicję Zachodnią, coraz więcej słyszało się o ludziach, których przymusowo wysyłano na teren okupanta i zmuszano do ciężkiej pracy. Pewnego dnia to właśnie ja zostałem wytypowany przez sołtysa na wyjazd. Sam nie wiedziałem wtedy, czy smucić się, czy cieszyć. Zostawiałem maleńką chatkę, w której od wielu lat mało było życia, a od czasów okupacji, która dla Jastrzębi zaczęła się już szóstego września, nastały naprawdę trudne dni. Brakowało dosłownie wszystkiego: jedzenia, nafty, nawet mydła. Gospodarze zmuszani byli do oddawania okupantowi tzw. kontyngentów. Zapanował głód. Ludzie padali

jak muchy. Pomyślałem, że choć jadę w nieznaną, to może lepszą przyszłość. Trafiłem do Effringen w pobliżu Stuttgartu, do gospodarstwa rodziny Keck w maju 1940 roku. Miesiąc później Niemcy zdobyli Paryż. Pamiętam to, bo z tego powodu przez dwa dni w Niemczech trwały huczne imprezy. Widziałem ten szal zwycięstwa, butę i zniechęciłem hitlerowców. Rodzinę Keck wspominam natomiast bardzo dobrze. W gospodarstwie były dwie kobiety (właściciel był w tym czasie na froncie), które zainteresowały się nawet moją chorą tarczą i wysłały mnie do miejscowego szpitala na operację. W rodzinnej Jastrzębi nikt nawet nie słyszał o takich sposobach leczenia...

W odróżnieniu od innych Polaków w Niemczech, mieszkałem w ciepłym domu, codziennie jadłem ugotowany posiłek, a moim jedynym zadaniem była opieka nad dwiema dziewczynkami, z którymi po prostu się bawiłem. Mogłem również kontaktować się z innymi pracownikami przymusowymi i przekazywać im informacje. Mój los okazał się łaskawy i nadzwyczaj łagodny.

Gdy wojna się skończyła, jak wielu innych ludzi, których los rzucił na teren Niemiec, mogłem wracać do Polski. I choć pragnąłem zobaczyć brata, to szczerze mówiąc bałem się tego, co zastanę na miejscu. Wracałem do domu, ale do domu biednego... Grupowaliśmy się po kilka osób – bo razem zawsze różniej. Na wschód wracali również obywatele innych narodowości i tak poznałem Żenię – cudowną Ukrainkę, w której z wzajemnością zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Dojechaliśmy do punktu repatriacyjnego, gdzie dostałem przydział do miejscowości, w której miałem się osiedlić. Nie byłem jednak w stanie rozstać się z Żenią. Zakochany po uszy postanowiłem zostać z nią do końca życia. Powojenna rzeczywistość nie była jednak taka prosta. Żenia musiała jechać do ojczyzny. Przymusowo rozdzielona z matką, nie myślała o niczym innym tylko o swoich bliskich. Mnie – Polaka - nie puszczono jednak dalej. Pamiętam nasze rozstanie na kolejowym peronie. Obiecywaliśmy sobie, że jeszcze się spotkamy. Obietnica ta jednak na zawsze miała już pozostać niespełniona. Żenia pisała rozpaczliwe listy, że na Ukrainie panuje bieda i głód, że tęskni... W zimie 1947 roku listy przestały przychodzić. Nigdy już nie usłyszałem o Żenii. Pozostała tylko pięknym, powojennym wspomnieniem...

Wróciłem do rodzinnej Jastrzębi, ale w maleńkim domku po rodzicach mieszkał brat z żoną i dziećmi. Zrozumiałem, że nie ma tu już dla mnie miejsca. Ostatni raz spojrzałem na znajomy krajobraz i nie odwracając się za siebie ruszyłem ku nowemu. Moim przydziałem była Lubawka. Miasto zauroczyło mnie od pierwszej chwili. Wojna obeszła się z nim bardzo

łagodnie – jak niemieccy gospodarze ze mną. Piękne, choć nieduże domy, skupione blisko siebie, przytulone prawie do Gór Kruczych, przypominały mi dom i matkę... Tutaj spotkałem również niezwykłą kobietę, która przywędrowała z Ukrainy z jedyną przyjaciółką... koźką. Potrafiła z nią rozmawiać i kochała jak rodzinę, a przy tym uśmiechała się tak promiennie, że po wszystkim, co przeszła, uśmiech ten wydawał się nieprawdopodobnym cudem. Po okropnościach wojny, które nadal widziałem, gdy zamykałem oczy, jej ciepło i pozytywne spojrzenie na świat było balsamem dla mojej poranionej duszy.

Katarzyna Ławrysz zd. Kowalczyk (1920-2005) – wspomnienia z domu rodzinnego oraz lat przed i po zakończeniu II wojny światowej.

Pamiętam nasz mały, drewniany dom w Dulibach. Naszą szczęśliwą rodzinę. Chociaż tato wrócił mocno poraniony po pierwszej wojnie światowej, nigdy nie narzekał i zawsze uśmiechał się na widok swoich pięknych córek. Było nas trzy siostry: Zuzanna, nazywana przez wszystkich Hanką, ja i najmłodsza Marysia. Miałyśmy również starszego brata Józefa – złotą rączkę, który wyręczał rodziców w pracy i pomagał okolicznym sąsiadom. Żyliśmy skromnie, ale ponieważ mieliśmy krowę i duży ogród warzywny oraz sad, nie głodowaliśmy. Nazywana byłam przez ojca – Kasieńką od zwierząt, które od najmłodszych lat bardzo kochałam, a one czując to lgnęły do mnie wszystkie. Często chodziłam paść krowę nie tylko naszą, ale i sąsiadów.

Nasza wieś była w większości zamieszкана przez Polaków. Ale ukraińska młodzież często do nas przychodziła, a i my chodziliśmy do sąsiednich wsi. Graliśmy, tańczyliśmy, znaliśmy się wszyscy. Zakochałam się w ukraińskim chłopcu – Józku – i wzięliśmy ślub. Nikomu nie przeszkadzało, że ja jestem Polką, a on Ukraińcem. My, ludzie Kresów, nie lubiliśmy podziałów, byliśmy sąsiadami – a to prawie jak rodzina. Z tego co pamiętam, prawie połowa ówczesnych rodzin była skoligacona.

Nawet nie wiem kiedy to się zmieniło. Gdy przeszedł front i Niemcy zaczęli swoje rządy, straciłam najmłodszą siostrę. Zabrano Marysię w wieku zaledwie 14 lat na przymusowe roboty do Niemiec. Moja matka bardzo to przeżyła. Tato i brat nie żyli już od jakiegoś czasu. Nagle staliśmy się przeszkodą dla Ukraińców do utworzenia Wolnej Ukrainy. Podjęto decyzję o usunięciu polskiej ludności z terenów Wołynia i Galicji Wschodniej. Coraz częściej słyszałam o okropnych napaściach na sąsiednie wioski, w które nie mogłam uwierzyć. O cierpieniach bezbronnych starców, kobiet i małych dzieci, o gwałtach,

bestialskich mordach i dobijaniu siekierami. Sąsiad – sąsiadowi stał się wrogiem. Żyliśmy w strachu, ja z Józkiem, maleńkim synkiem i moją mamą. Pewnego dnia na podwórze zajechali ukraińscy partyzanci. Kazali Józkowi się zbierać. Zdążyłam jedynie odłożyć małego Michałka do kołyski i wybiec na zewnątrz, a już ich nie było. Nie zdążyłam się nawet pożegnać z mężem. Czekałam, ale już nigdy go nie zobaczyłam. Wiedziałam co to oznacza. Ukraińcy zmuszali rodaków do wstępowania w szeregi UPA. Pierwszym dowodem poparcia dla wolnej i niepodległej Ukrainy miało być zabicie polskiej żony, dziecka, rodziny. Ukraińiec miał do wyboru – albo zabić najbliższych i żyć, albo sprzeciwić się rozkazom i zginąć. Często myślałam o tym, czy właśnie taki los spotkał mojego Józka.....

Napadów na Polaków było coraz więcej. Bałam się kłaść spać. Nie wiedziałam, czy jeszcze wstaniemy rano. Może wymordują nas we śnie? Może spalą żywcem? Pewnego dnia dostaliśmy informację, że tej nocy szykowany jest napad na Duliby. Ukryliśmy się w kościele. Zabarykadowaliśmy okna i drzwi. Wiele rodzin zostało w domach, aby pilnować dobytków, ale ja postanowiłam się schronić. To była straszna noc. Banderowcy otoczyli kościół. Chcieli wdrzeć się do środka, wywarzyć drzwi. Uratowało nas to, że jak na tamte czasy kościół był naprawdę porządną „warownią”, bo murowaną. Michał płakał całą noc, mama skuliła się na podłodze kościoła (ławki służyły bowiem do umocnienia barykady). W tę noc zginęło wielu naszych sąsiadów, wiele chat spłonęło. A i ja tej strasznej nocy przypisuję swoją osobistą stratę. Michał przeziębził się straszliwie, mama zasłabła i już nigdy nie wróciła do pełni sił. Zmarła, zostawiając mi osobliwy testament. Błagała, bym uciekała razem z synkiem z Ukrainy i odnalazła Marysię, od której od momentu wyjazdu na roboty nie miałyśmy żadnej informacji. Spełniłabym tę prośbę, ale mój synek zmarł niedługo po babci, pozostawiając w moim sercu ranę na całe życie.

Na początku 1946 roku kuzyni, stryj, zaczęli namawiać mnie bym razem z nimi opuściła Ukrainę. W marcu 1946 roku zgłosiłam się do Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Brodach, gdzie organizowano transport do Polski. Moją towarzyszką była koza Basia i tobołek z podręcznym bagażem. Decyzja o opuszczeniu rodzinnego domu była bardzo trudna. Wielu sąsiadów, którzy nie zdecydowali się na wyjazd, zginęło. Samo przesiedlenie, transport, też były okropne. Jechaliśmy w bydlęcych wagonach, często odkrytych, bez osłony od deszczu, wiatru, śniegu, w warunkach urągających godności człowieka. W czasie przesiadek nawet kilka dni koczowaliśmy na peronach, w oczekiwaniu na następny skład kolejowy, bez jedzenia, wody. Dostałam skierowanie na Dolny Śląsk – do Żar. Tam przydzielono mi mały domek, kawałek ziemi, dostałam też pracę, ale nie zależało

mi na dobrach materialnych. Jedyne czego pragnęłam w tamtym czasie, to dowiedzieć się, gdzie jest moja starsza siostra Zuzia i odnaleźć Marysię. Przez PCK otrzymałam informację, że moja siostra żyje, wróciła z Niemiec i osiedliła się w Lubawce wraz z mężem. Rzuciłam wszystko i znowu ruszyłam w drogę. Rodzina szybko zorganizowała dla mnie mieszkanie obok swojego. W obórcie przy naszym nowym domu znalazło się też miejsce dla mojej Baśki. W tamtym czasie w Lubawce dużo było jeszcze pustych domów, których mieszkańców wysiedlono w głąb Niemiec. Również wielu Żydów opuściło swoje mieszkania i wyjechało z miasteczka już na zawsze. Szybko podjęłam pracę w zakładzie przędzalni i tkalni lnu „ODRA”. Tu spotkałam Leopolda. Spokojnego, dobrego, cichego człowieka, który mimo nienawiści do hitlerowców potrafił okazać wsparcie starej Niemce, której mieszkanie mu przydzielono. To mnie w nim ujęło. Przypominało mi czasy, gdy na Ukrainie nie było podziałów. Chciałam te wspomnienia zachować w moim sercu na zawsze i pokochałam tego skromnego mężczyznę.

#### Leopold i Katarzyna Markiewicz – wspomnienia z Lubawki – koniec historii.

Koniec wojny i rok 1945 odmienił nasze życie, porządek świata, w tym również Lubawkę. Miasto wyszło z zawieruchy wojennej niemal bez szwanku. Nie mogliśmy oprzeć się o miejscowe tradycje, czy zasoby kadrowe, gdyż nie było tutaj wcześniej polskiej ludności. Lubawkę przepełnialiśmy my, uchodźcy z terenów Wschodnich i Centralnej Polski. To my tworzyliśmy to miasto. Jednocześnie w pośpiechu opuszczali je dotychczasowi właściciele – Niemcy oraz Żydzi. Niektórzy z nich chcieli zostać. Przydzielano nam mieszkania, domy, gdzie do jednego pokoju przenoszono dotychczasowego właściciela. I tak np. skromny Poldek z biednej wsi w Galicji otrzymał mieszkanie przy ul. Wojska Polskiego. Kilka olbrzymich pokoi, umeblowanych, z cieniutką porcelaną i kryształami w kredensie, srebrnymi sztućcami i kryształowymi żyrandolami. Ten przepych przytłaczał skromnego chłopaka. Bez oporów oddawał starej Niemce – dawnej właścicielce - rodowe zastawy i pamiątki. Z tego też powodu wolał przenieść się do małego mieszkania zajmowanego przeze mnie, nie chciał pozostać w „pałacach”, do których zupełnie nie pasował. Przesiedleni z Kresów Wschodnich nie czuliśmy się jednak w Lubawce jak w swoim domu. Traktowaliśmy te ziemie jako tymczasowe. Osiedlaliśmy się jeden obok drugiego, ściągając do siebie rodzinę bliższą i dalszą, sąsiadów ze wsi, znajomych. W takich okolicznościach Leopold poprosił mnie o rękę. Ale sprawa nie była prosta - miałam już męża, o którym słuch zaginął, więc nowego związku małżeńskiego zawrzeć nie mogłam. Zastanawiałam się ciągle zresztą, czy Józef Ławrysz, mój mąż, żyje. W poszukiwaniach pomagał PCK, a odpowiedź

przyszła z Międzynarodowej Służby Poszukiwań w Genewie. W piśmie z przykrością informowano, że nie ma żadnych informacji o poszukiwanym, a jego los określono jako nieznan, w związku z czym należy go uznać za zaginionego w wyniku działań wojennych. Po upływie 3 miesięcy zostałam uznana za wdowę i mogłam ponownie wyjść za mąż. W 1949 r. urodziłam syna – Zygmunta. Mieszkanie, które zajmowaliśmy, należało wcześniej do Niemców, którzy mogli zatrzymać sobie jeden pokój. Mieszkaliśmy z nimi przez ścianę. Leopold traktował Pana Dreshera z niezwykłym szacunkiem, a i ja poszłam w jego ślady. Z czasem starszy człowiek zaczął zajmować się naszym synkiem, kiedy oboje szliśmy do pracy.

Któregoś wieczoru Poluś pijąc gorącą herbatę powiedział: „Zobacz, jak historia zatoczyła koło. Jeszcze nie tak dawno opiekowałam się niemieckimi dziećmi, a teraz Niemiec opiekuje się naszym synkiem. A i Zygmunt bardzo kocha swojego niemieckiego dziadka...”

### Dokumentacja zdjęciowa:

Zdj. 1 - Karta ewakuacyjna wydana mojej prababci – Katarzynie – w roku 1946. Czarną obwódką zaznaczona 1 koza – Baśka – którą babcia zabrała ze sobą, jako cały swój „majątek”.



*Zdj. 2 - Kościół w Dulibach – obecnie cerkiew – w którym chronili się mieszkańcy w czasie napadów band UPA – zdjęcie z roku 2004.*

*Zdj. 3 Nieistniejąca obecnie chata - dom pradiadka w Jastrzębi. Zdjęcie z 2003 r.*



*Zdj. 4 Miasteczko Effringen, do którego trafił pradiadek na roboty przymusowe. Zdjęcie z roku 1994.*

*Zdj. 5 Mój pradiadek wraz z kobietami - dziewczynkami, którymi zajmował się w czasie wojny (od lewej strony). Zdjęcie z roku 1994.*



*Zdj. 6 Pismo poświadczające pracę pradiadka w okresie wojny w Niemczech, sporządzone przez sąsiadkę rodziny Keck, wraz z tłumaczeniem.*

1. Mai 1940 - 9. Aug. 1945


Bestätigung

Ich Anna Kreudler geb. Huber  
(geb. 6.1.26) bestätige, daß  
Leopold Markiewicz  
vom 1. Mai 1940 - 9. Aug. 1945  
bei meinem Nachbarn, der  
Fam. Kock war, dort hat er  
bei den Landwirtschaftlichen  
Arbeiten geholfen.

Anna Kreudler  
Erfingen 28.1.94


Die Vorstehend, vollzogene Unterschrift der Frau Anna Kreudler  
wird hiermit amtlich bestätigt.

Wittgenberg, den 28. Januar 1994



TŁUMACZ PRZYSIĘGŁY  
języka niemieckiego  
Mgr Elżbieta Zięcina  
ul. Gen. S. Maczka 28/A  
89-228 Chojnow, Polska

Tłumaczenie z języka niemieckiego-----  
Potwierdzenie-----  
1. maj 1940-9. sierpnia 1945-----  
Ja, Anna Kreudler, z domu Huber (ur. 6. stycznia 1926.), -  
potwierdzam, że-----  
Leopold Markiewicz pomagał w pracach gospodarskich-  
moim sąsiadom rodzinie Kock w czasie od 1. maja 1940-  
do 9. sierpnia 1945.-----  
Anna Kreudler, Erfingen 28. stycznia 1994 r.-----  
(Adnotacja urzędowa.)-----  
Niniejszym potwierdzamy urzędowo powyższy podpis Pa-  
ni Anny Kreudler.-----  
Wittberg, 28. stycznia 1994-----  
Odcisk okrągłej pieczęci Urzędu Miejskiego w mieś-  
cie Wittberg z godłem miasta w środku.-----  
xx  
Ja, mgr Elżbieta Zięcina, Tłumacz Przysięgły języka-  
niemieckiego zawiadamiam zgodność niniejszego tłuma-  
czenia z przedłożonym mi potwierdzeniem w języku-  
niemieckim. Pobrano opłatę w wys. 150 zł, z za zgod-  
nie z Dz.U. 02 poz. 362 z 1991r. Rep. nr. 12/94-----  
Chojnow, dn. 08.02.1994



TŁUMACZ PRZYSIĘGŁY  
języka niemieckiego  
Mgr Elżbieta Zięcina  
ul. Gen. S. Maczka 28/A  
89-228 Chojnow, Polska

Elzbieta Zięcina